

Jeden z Nich

Czarny sedan z przyciemnionymi szybami mknął po opustoszałej autostradzie. W oddali majaczyły światła wielkiego miasta – jednego z tych, które nigdy nie śpią.

Ekrany akustyczne zasłaniały wszelkie widoki. Pasażerowie samochodu oglądali tylko ciągnącą się kilometrami jednolitą ścianę. Niebo, zanieczyszczone światłem, było zupełnie szare. Księżyc w nowiu i żadnych gwiazd.

Krople ciężkiego deszczu rozbijały się o szyby. Przerywane strugi powoli sunęły do krawędzi okna, gdzie rozrywał je pęd powietrza. Ten sam, który wcześniej nadawał im prędkość.

Dwaj żołnierze nerwowo przebierali palcami po komorach zamkowych swoich karabinów. Siedzący pomiędzy nimi mężczyzna w skórzanym płaszczu wpatrywał się bez wyrazu przed siebie.

Nagle szybki, energiczny dźwięk przerwał ciszę. Wojskowi spojrzeli po sobie. Człowiek w czerni powoli sięgnął do kieszeni i wydobył niepozorną, szklaną płytkę. Ściągnął rękawiczkę, przesunął palcem po dotykowym ekranie. Odebrał telefon.

– Dobry wieczór, Agencie Sześć. Wysłano ci dzisiaj instrukcję odnośnie zadania 174/b, kryptonim „Młot”. Rozumiem, że zmierzasz już na miejsce? – zapytał zimny, nieprzyjemny głos.

Zaawansowana technologia sprawiała, że rozmówca wydawał się siedzieć tuż obok. Zależało im, by personel czuł wzrok pracodawcy na ramieniu, nieustanną bliskość. Mężczyzna wzdrygnął się. W myślach mignęło mu wspomnienie.

Zobaczył przestronny, betonowy pokój. Sterylna biel wylewała się z prostokątnego okna. Ostre światło drażniło. Nie pozwalało przyjrzeć się postaci siedzącej za biurkiem. Czuł, że ktoś czegoś od niego oczekuje.

– Agencie Sześć! Jesteś tam? – sączyły się pozbawione emocji słowa. Nie wiedział, czy pochodziły ze słuchawki, czy od niewidocznego człowieka. Słyszał je równocześnie, brzmiały podobnie. Bardzo mu się to nie podobało.

Dobrą chwilę był jak nieobecny. Siedział bez ruchu, próbując wyprzeć coś z pamięci. Szybki krok na korytarzu, kolumny błyszczących okien. Machinalne pozdrowienie od ochroniarza. Ulga. Wyszedł z budynku.

– Tak, Centrala. Otrzymałem, zapoznałem. Jestem w drodze – powiedział w końcu, najbardziej beznamiętnie jak tylko potrafił.

– Przyjęliśmy. Protokół zapisany, koniec rozmowy – odpowiedź wybrzmiała równie nijako.

Przez moment z głośnika wydobywały się trzeszczące dźwięki, przechodzące później w ciągły pisk. Potem tylko cisza. Mordercza, wrzynająca się w mózg cisza. Mężczyzna wsunął urządzenie do kieszeni i jakby nic się nie stało, powrócił do obserwowania jezdni.

Nareszcie dali mi spokój... – pomyślał, zagłębiając się w otchłań rozważań o niczym. Nie lubił siedzieć beczynn timer, ale kontrolowane otępienie czasem mu pomagało. Pozwalało choć na moment uciec od obowiązków rzeczywistości. Zapomnieć.

Nie dano mu jednak cieszyć się chwilą. Mały implant nad uchem zawibrował delikatnie. Komunikator – nowinka, pozwalająca prowadzić rozmowę bez zewnętrznego ośrodka, w samym umyśle. Jedyna rzecz z Reformy, jaką zdążył polubić.

Zwykłe powiadomienia służbowe były głośne – tak, by nie dało się ich zignorować. Aparat brzęczał natomiast skrycie, ale nieustępliwie. Jakby chciał z jakiegoś powodu zachować dyskrecję. Sześć powoli przyłożył palec do wystającej spod skóry wypukłości na skroni.

– Dobra, teraz możemy pogadać. Chłopie, wszystko gra? – wybrzmiał mu w głowie dobrze znany, energiczny głos. Od razu przypomniał sobie, że po ostatniej „wpadce” przydzielono mu terapeutę, ponoć najlepszego. Nie, żeby jakiegoś potrzebował.

Częstym problemem urządzenia było przebijanie sygnału na pobliskich użytkowników. Obejrzał się ukradkiem. Nie chciał, by ktokolwiek dowiedział się, że potrzebuje „specjalisty”. Szczególnie jego podwładni...

– Halo, słyszysz mnie? – przypomniał się głos.

– Tak. Musiałem sprawdzić, czy nikt nie podsłuchuje. Wolałbym, żeby te rozmowy zostały między nami – odpowiedział Agent, starając się kontrolować ruchy mięśni twarzy. Wymianom myśli często towarzyszyła nadmierna mimika.

– Jak tam sobie chcesz. Przygotowany?

– A czy odważyłbym się nie być przygotowany?

– Czemu zawsze uważasz, że wiesz wszystko lepiej? Co stawia cię przed innymi? Twoje rozkazy przechodzą przez wszystkie szczeble administracji, są zatwierdzane przez dziesiątki urzędników, dobrych ludzi, i nikt nie ma z nimi problemu!

– Może dlatego, że to ja mam je wykonywać, a nie jakiś urzędnik? – warknął Sześć, co dla żołnierzy było tylko subtelnym zmarszczeniem brwi.

Znowu mignął mu przed oczami betonowy wieżowiec, skąpany w promieniach wschodzącego słońca. Ktoś trzymał go za ramię. Otworzyły się szklane drzwi. Jakaś niewyraźna postać siedziała za biurkiem. Słowa powtarzały się jak echo. *Jakiś urzędnik, jakiś urzędnik.* Urzędnik.

– Słuchaj – westchnął terapeuta – już to przerabialiśmy. Jestem tu dla ciebie, chcę pomóc! Nie myśl sobie, że to za karę. Nie każdemu dają w ogóle szansę. Przydzielili mi cię, bo jesteś najlepszy. Centrali naprawdę na tobie zależy!

– Znałem ludzi, na którym im zależało! Jeden poszedł do piachu, a drugiego wysłali do przytulnego pokoju bez klamek. Oboje dostali „szansę”, i to chyba nawet od ciebie – rzucił, siląc się na ironię.

Głos zamilkł. Rozmowa dobiegła końca. Agent uśmiechał się cierpko. Miał nieodparte wrażenie, że już nie pierwszy raz odbył podobny dialog. Wspomnienia kotłowały mu się w głowie. Ciągle próbował o czymś zapomnieć.

Żołnierze spoglądali ukradkowo na jego twarz. Choć wydawał się spać, przez napiętą skórę co chwila przechodziły skurcze i drgawki. Chcieli zapytać, czy dobrze się czuje, ale bali się zawracać głowę tak wysokiemu funkcjonariuszowi. Niezdarnie udawali obojętność.

Łuna miasta była już na tyle silna, że noc nie stanowiła dla niej żadnej przeszkody. Sześć odjął rękawiczkę od rozgrzanej skóry. Zbliżali się. Nie mógł już sobie pozwolić na czcze pogaduchy.

Wkrótce czarna limuzyna wślizgnęła się w opustoszałe ulice. Wysokie, sięgające nijakiego nieba wieżowce, sterty śmieci walające się po spękanych chodnikach. Nawet przez grube uszczelki kuloodpornej szyby czuć było swąd spalin i frytury.

Na widok samochodu nieliczni przechodnie ignorujący godzinę policyjną udawali niewidocznych. Odwracali wzrok, zgrywali pijanych. Robili wszystko, by nie wzbudzić na siebie podejrzeń.

Na próżno. Kamery wmontowane w pojazd natychmiast rozsyłały ich zdjęcia do Centrali. Tam zostaną sprawdzone i sklasyfikowane. Nikt się nie ukryje.

– No dobra, panowie. Jesteśmy na miejscu – oznajmił Agent, obserwując zniszczony gmach starego teatru. Przed obskurnym wejściem stało dwóch łysych typów w czarnych płaszczach. Takich samych, jaki właśnie poprawiał.

– Na odprawie nie mówili zbyt wiele. Potencjalne użycie siły, ryzyko czwartego stopnia, w podstawowym użyciu ostra amunicja. Zna pan jakieś szczegóły? – zapytał żołnierz siedzący po lewej. Drugi kończył mocować na hełmie noktowizor. Przyłbicę zdobiły cztery białe linie.

– Zwykła robota. Rozbicie grupy niebezpiecznych degeneratów i ujęcie jej członków. Powinno się obyć bez przemocy, ale nigdy nic nie wiadomo. Macie wejść od łoży, przejściem pod czwartym sektorem. Sytuacja jest płynna, więc szczegóły zostawcie mnie!

Drzwi samochodu rozsunęły się bezszelestnie i mężczyzna wyszedł na dziedziniec. Przywitało go chłodne powietrze o silnym zapachu dymu i palonych kabli. Nawet się nie wzdygnął. Czymś takim oddychał przez pół życia.

Może właśnie dlatego mnie wybrali? Nie musieli nic wydawać na szkolenia, implanty zachowania, operacje płuc. Chyba właśnie w tym się wyróżniam z innych Agentów. Dla mnie to wszystko jest normalne – pomyślał, wpinając do prochowca spinkę z logiem.

Przedstawiała dwa skrzyżowane młotki na biało-czerwonym tle. Uśmiechnął się drwiąco. Według Centrali ten jeden detal miał sprawić, by przełączył sobie coś w mózgu i stał się jednym z nich.

Młoty. Tak nazywała się grupa, której Agent stał się przywódcą. Kosztowało go to lata pracy i wyrzeczeń. Najtęższe głowy Dowództwa pisały mu przemówienia, uczyły gestów i dykcji, a nawet odpowiednio ubierały. Na początku było ciężko, ale znalazł na to sposób. Nauczył się utrzymywania w sobie dwóch osobowości.

Musiał uwierzyć, że prawda jest płynna. Raz to, co mówił było kłamstwem, a raz wartością, której trzeba bronić za wszelką cenę. W jednej chwili był praworządnym obywatelem i wysokim rangą funkcjonariuszem, a w drugiej bezwzględny nazistą. Dwójmyślenie – tak to nazywali.

Kiedyś nie dałby rady bez zająknięcia powtórzyć Przysięgi, a teraz wchodził do starego teatru, gdzie wszystko miało się zakończyć. Był tam, ale to drugie wcielenie mówiło i myślało za niego.

Ochroniarze na jego widok stanęli na baczność i zaszalutowali. Wyprostowana prawa ręka i dłoń na wysokości oczu. Perfekcyjnie wykonany salut rzymski.

Na jedno skinienie otworzyli odrapane drzwi i wprowadzili go do głównego korytarza. Dziarskim krokiem, z rękami założonymi do tyłu, wkroczył do środka. Goryle zabarykadowali wejście i ruszyli za nim.

Wewnątrz było niemal całkiem ciemno. Mętne światło starych jarzeniówek drażniło oczy i rzucało nieprzyjemne cienie na betonowe ściany. Czuć było zapach kleju do tapet, kurzu i rdzy. Cuchnęło jak przeszłość, o której chciałoby się zapomnieć.

Na końcu długiego korytarza stało dwóch potężnych łysoli. Czarne koszule, wysokie glany i czerwona opaska z młotami na ramieniu. Z respektem wpatrywali się w kroczącego ku nim Wodza. Lekko ruszył głową, a rozstąpili się i odsłoniли wejście do rozległej auli.

– Zwycięzimy, Wielki Wodzu! – powitał go, salutując, starszy mężczyzna. Jego zastępca. Nosił wyświechtany szary mundur z orłem trzymającym w szponach błyskawicę na pagonach. Kolejny weteran starszych czasów, jakich wielu było wśród Młotów.

– Zwycięzimy, Najwyższy Chorąży! – odpowiedział z dobrze udawanym uśmiechem.

Kiedy już uściskał dłonie całej starszyny, Sześć dostojnie podszedł do stojącego nieopodal piedestału. Założył ręce za plecy i ustawił się w jednej z wyuczonych scenicznych póz. Rozejrzał się wokoło i podziwiał.

Ciemna sala dawnego audytorium wypełniona była po brzegi. Kobiety i mężczyźni w różnym wieku spoglądali na główne wejście, wyczekując z radością widoku Wodza. Wszyscy biali, ubrani w czarne koszule i podekscytowani.

Agent chłonał wszystko, całe doświadczenie. Obserwował flagi z dwoma młotami na biało-czerwonym polu zwisające z nieczynnych łóż. Nawet silna duchota nie zaburzała mu tego obrazu. Czuł dumę. Prawdziwą, niewymuszoną dumę.

– Przybyli wszyscy, tak jak rozkazałeś. Pokazać listę? – zapytał starszy.

– Nie, dziękuję. Nie potrzebuję listy żeby wiedzieć, że przyszli tu dzisiaj ci, dla których nasza sprawa jest najważniejsza.

– Tak, to rzeczywiście wspaniałe świadectwo naszej społeczności! Skoro nie chcesz nazwisk powiem tylko, że mamy na sali komplet. Cztery tysiące miejsc! – zawołał chorąży z przejęciem.

– Wodzu! Wszystko już gotowe, możemy zaczynać! – krzyknął ktoś z obsługi.

Tak, możemy zaczynać. Panowie, show must go on! – pomyślał Sześć, wysyłając wiadomość do Centrali swym komunikatorem.

Zaczęło się. Zgasły światła, horda Młotów ucichła w napięciu. Werble zaczęły uderzać w starą skórę. Bębny biły coraz szybciej i szybciej, głośniej i głośniej.

Nagle zapłonął jeden z reflektorów. Przejechał powoli swoją wiązką po auli, by ostatecznie zatrzymać się na trybunie.

Chuda postać Wodza, statyczna i groźna jak marmurowy posąg, ukazała się w żółtym świetle. Jego twarz wyglądała jak woskowa maska, zaczesane do tyłu włosy błyszcząły metalicznie, a oczy płonęły żywym blaskiem. Przemówił.

– Ja, Wielki Wódz, witam was wszystkich na czwartym walnym zgromadzeniu Młotów. Zwyciężymy! – wybrzmiał jak doświadczony mówca.

Zwy-cię-żymy! Zwy-cię-żymy! Zwy-cię-żymy! – odpowiedział mu tłum.

– Jesteśmy tu, by dać świadectwo światu! Jesteśmy tu, by pokazać, że są ludzie, którym zależy na wspólnym dobru! Dość już mamy poniżania, kłamstw i rządów zamkniętych klanów, obojętnych na wszystko! Jesteśmy tu, bo chcemy powiedzieć „nie”!

Cała aula wypełniła się oklaskami. Kilku gwizdało, większość krzyczała radośnie i biła brawo. Na znak chorążego ruszyły się proporce. Trzepotano nimi energicznie, jakby chciano wszystkie te skrzyżowane młoty wprowadzić w ruch. Agent uśmiechnął się szeroko.

– Powiedzcie mi: kim jest ta cała hołota, która zabiera nam pracę? Kto chce rządzić i trzymać pieniądze? Kto pragnie nierówności i niesprawiedliwości?!

Z ogólnego ryku co chwila wybijały się pojedyncze słowa: Żydzi! Czarni! Komuchy! Ciapaci!

– Tak! Wszystko, co nas złego spotyka dzieje się przez nich! Spójrzcie: nasz kraj jest biedny, bo brudasy zabierają nam pracę! Jesteśmy słabi, bo komuchy tłamszą nas durnymi przepisami! Tyle matek nie zobaczyło już swoich synów przez Żydków i ich wojnę! Tyle miast doszczętnie spłonęło, tyle cierpienia, tyle krwi wsiąkło w naszą ziemię – wszystko to dla pieniędzy! Napchali sobie kabzę za naszą krew!

Przez zgromadzenie przeszedł pomruk nienawiści. Każdy wymieniony przykład wywoływał coraz większą wściekłość. W ciemności błyskały rozżarzone nienawiścią oczy.

– Ale najgorsze... – kontynuował Wódz – Najgorsi są obcy! Imigranci zalewają nas z każdej strony, zezmacają naród! Wkrótce nie zostanie z naszej rasy nic, tylko ciemna, ohydna masa! – ostatnie słowa zaakcentował tak, jakby chciał wypluć płuća.

Ludzie buczeli, wrzeszczeli i gwizdali z wypiekami na twarzach. Kilka osób splunęło pogardliwie, większość gotowała się ze złości. Starzec rozkazał Młotom uderzać w bębny, żeby podgrzać atmosferę.

Wyglądało na to, że czarny legion zaraz rozniesie teatr i sam ruszy na wzgardzonych wrogów. Była jednak osoba, której bali się jeszcze bardziej niż „ciapatych i komuchów”. Wódz podniósł rękę. Uspokoili się.

– Na szczęście – zaczął stonowanie, czekając na absolutną ciszę. – Na szczęście jesteśmy jeszcze my. Jako jedyni stoimy na straży całego narodu. Bronimy go, a jednak ten zdaje się nas wciąż nie zauważać! Jesteśmy sami, nieliczni, zapomniani... Ale nie na długo! Już wkrótce, kiedy tylko pozwoli czas, ramię w ramię pójdziemy na wojnę, która doprowadzi nas do zwycięstwa. Zwyciężymy!!!

Zwy-cię-żymy! Zwy-cię-żymy! Zwy-cię-żymy! – rozlegało się w kółko.

Sześć wiedział, że teraz musi dać im chwilę na ochłonięcie. Stał więc sztywno z rękami założonymi za plecy i z dumą podziwiał szalejącą w jego imię wierną armię.

Po chwili niekontrolowanej euforii, chorąży rzucił kilka rozkazów do swoich żołnierzy i zaczęła się główna część przedstawienia. Jak na zawołanie wszyscy ustawili się w regularnych szeregach i zaczęli miarowo skandować:

Mło-ty! Mło-ty! Mło-ty!

Do zaśpiewu zaraz dołączył regularny ruch skrzyżowanych w nadgarstkach rąk. Tysiące gardeł wołających Wodza i tysiące pięści żądających działania. To znak. Byli już gotowi.

– Zwyciężymy, bracia i siostry! – podjął, gdy tylko zastępca dał sygnał do słuchania. – Zwyciężymy, lecz najpierw musimy zająć się sprawami bieżącymi. Wiem, nie są tak ekscytujące, ale na dobrze funkcjonującą grupę składają się sprawne elementy. Nawet te z pozoru drobne i nieznaczące – zaakcentował isticie mentorskim tonem.

Sześć nigdy nie przepadał za praktyką z retoryki, więc sam był zdziwiony tym, jak dobrze mu szło. To musiała być specyfika momentu. *Zawsze maksimum możliwości osiąga się w punkcie kulminacyjnym* – powtórzył w myślach szkolną maksymę.

– Wraz ze starszyzną podjęliśmy decyzję, że dzisiaj przed omówieniem grafiku prac tygodniowych sprawdzimy waszą lojalność. Nowy Porządek wymaga pełnego zaangażowania, a nie jest ono możliwe bez całkowitego i bezgranicznego posłuszeństwa!

Sala zadrżała. Zewsząd dobiegały entuzjastyczne krzyki: Młoty!, Młoty!, Młoty! Ludzie wymachiwali nad głową zaciśniętymi pięściami. Chcieli działania. I zaraz mieli je dostać.

– A więc pierwsze: czy naprawdę chcecie pozbawić władzy Żydów?

Tłum wrzeszczał: za-bić!, za-bić!, za-bić!

Tak, to był ten moment. Teraz. Już czas. Implant posłuszeństwa wibrował delikatnie nad prawym uchem. Uciszył go. Nie potrzebował przypominania.

– A więc postanowione: zabić! Zobaczycie, włączymy prysznic i napalimy w piecykach!

Wszyscy wiwatowali. Skandowali i unosili skrzyżowane nadgarstki nad głowy, tym razem spontanicznie. Centrala stanowczo potępiała takie myśli, ale ich radosne krzyki przypominały Agentowi zwierzęcy ryk.

– Czy na pewno chcecie wysłać do domu naszych „kolorowych” kuzynów?

Ze zgietku formowało się głośnie: za-bić!, za-bić!, za-bić!

Proporce gniewnie powiewały, coraz energiczniej szarpane przez chorążych. Dwa młoty wymierzone do uderzenia. Gotowe, by jeden po drugim spaść na cel.

– Usłyszano wasze prośby. Z nimi też do piachu!

Młoty! Młoty! Młoty!

– A co z pedałami? Z czerwonymi? Ze ćpunami?! Co dla nich przygotowaliście?

Śmierć! Śmierć! Śmierć!

– Dobrze! – zakrzyknął tryumfalnie, gdy sala się nieco uspokoiła. – Wszyscy zaraz będą martwi, a na ich trupach zbudujemy nowy, lepszy świat!

Flagi falowały. Białe-czerwone pola przypominały splamione krwią bandaż. Dwa ciesielskie młoty spoglądały złośliwie. Wydawało się, że zaraz uderzą. Rozłupią, zmiażdżą, zetrą w pył. To nieuniknione. Stalowe głowy patrzyły na tłum.

Komunikator bzyczał coraz intensywniej.

– Przejdźmy teraz do konkretów! Zebraliśmy się tu dzisiaj nie tylko, żeby odnowić stałe punkty naszej Przysięgi. Jesteśmy tu wszyscy by wypełnić zarazę u podstaw! Gdy chce się zmienić wszystkich, trzeba zacząć od siebie!

Na jedno skinienie podbiegł do niego jeden z wtajemniczonych Młotów i podał mu opasłą teczkę. Gruby plik dokumentów pełen zdjęć i nazwisk.

Papier. Agent dawno nie czuł tego materiału w rękach. Był tak szorstki, niecodzienny, a jednocześnie przyjemnie namacalny. Miał wrażenie, że zapisane na nim informacje miały jakąś niezwykłą wagę, znaczenie. To musiało być to. Dowództwo nigdy nie robiło niczego bez przyczyny.

– Zaczynamy! Chcieliście śmierci dla wszystkich Żydów? Tak pewnie wykrzykaliście im wyrok? Z naszego śledztwa wynika, że czterech na dziesięciu członków naszego szlachetnego zgromadzenia ma brudne pochodzenie! – słowo „brudne” w jego ustach brzmiało jak metaliczny zgrzyt.

Ludzie zaniemówili. Zrobiło się zupełnie cicho. Chorągwie zastygły w napięciu. Powietrze zgęstniało i stanęło w miejscu. W starym teatrze zrobiło się bardzo duszno.

– Idąc dalej: chcieliście śmierci wszystkich czarnuchów? Część z was musi więc wrócić dzisiaj do domu i zabić własnych zięciów, chrzestnych, czy przyjaciół! Jesteście bezwstydni! Mijacie bambusów każdego dnia, a nie robicie nic, by polepszyć sytuację! Weźcie nóż i dźgnijcie. Naprawianie świata, to takie proste! – wyrzeszczał.

Tłum wlepił w niego oczy. Na części twarzy widać było strach lub niepokój. Na większości przerażenie. Mówił dalej, a jego słowa przybierały coraz więcej nienawiści.

– Za największą wartość uważacie dobro Wielkiej Rasy, której jesteście częścią. A co robicie?! Tylko połowa z was ma w ogóle rodzinę, a i tak większość z nich bije własne żony, dzieci, a nawet matki! Jak chcecie wykształcić w ten sposób pokolenia niosące świadectwo naszej walki?! Kto będzie dla nas “zwyciężał”? Czarnych bić nie umiecie, a swoich już tak?! To już nie jest grzech – to czysta zdrada!

Członkowie Młotów tkwili w rozdarciu. Chcieli się ratować, odkrzyknąć coś na swoją obronę – zrobić cokolwiek. Nie potrafili. Stali jak w transie i gapili się bezmyślnie na woskową twarz silnie gestykującego człowieka w skórzanym płaszczu, który chciał ich wszystkich wysłać na śmierć.

Czuli to, co pchało ich kolejne pokolenia w nieskończony marsz czerwono-czarnych młotów. Silny i hipnotyzujący strach.

Ich wódz wykrzywił usta w paskudnym grymasie, który miał chyba być uśmiechem. Nim dokończył przemówienie, poprawił tylko nieznacznie spinkę. Wszystko musiało być dla niego idealne. Perfekcyjne, jak to nazywał.

– Wiecie już, do czego właściwie zmierzam. Jesteście na tyle bystrzy, wyżsi od innych, że nie muszę tego chyba mówić. Ale powiem. Przecież na tym nam wszystkim zależy. Na wzajemnym zaufaniu i szacunku! A jak mamy ufać pieprzonym ćpunom? Ośmiu na dziesięciu z was, szeregowych, coś pali! Wciąga, wstrzykuje, zapija... To odrażające, obleśne, paskudne! Nie mogę na was patrzeć!

Teraz nikt już nie czekał na zbawienie. Ludzie zaczęli zrywać proporce, deptać się wzajemnie i krzyzczeć. Wrzeszczeć w niebo głosy. W starym teatrze zapanował kołujący się w amoku chaos.

Sześć tego nie widział. Nic już nie słyszał, nie czuł. Dla niego rozdzierający ryk był jak jednostajny szum w pancерnej limuzynie. Nic nie mogło rozproszyć jego uwagi. Jeszcze nie skończył. Przedstawienie musiało trwać.

– Krzyczeliście też „zabić!” dla czerwonych, pedałów i wielu, wielu innych grup w naszym mieszanym społeczeństwie. Jak łatwo, zbyt łatwo wydawaliście na nich wyrok... Co by było, gdybym wam teraz powiedział, że na tym zgromadzeniu nie ma ani jednej osoby czystej od tych zarzutów? Jesteście brudasami, zgnilizną tego świata i sami dla siebie wykrzyczeliście karę!

Gdy wypowiadał ostatnie słowa, aulę poruszył dźwięk pękających desek i wyłamywanych zawiasów. Wszystkie dziewięć nieczynnych łóż rozświetliły światła latarek. Nim Młoty się obejrzały, już mierzyły w nich dziesiątki karabinów. Wkroczyli żołnierze Oddziału Szturmowego.

– Widzicie – podjął z tryumfem – teraz sytuacja się zmienia! Do naszego grona dołączyły nareszcie czyste dusze! Z nas wszystkich tylko kilku funkcjonariuszy może poszczycić się nieskazitelnym rodowodem, opinią – wszystkim, co uważacie za tak wspaniałe! A jeden z nich kieruje nawet tą akcją!

Osoby nie zajęte wyważaniem wzmocnionych drzwi mimowolnie spojrzały na stojącego w środkowej łoży szturmowca. Przebierał nerwowo palcami po komorze zamkowej swojej giwery. Przyłbicę jego hełmu zdobiło sześć białych linii.

– I pewnie teraz, gdy słyszycie o tym dobrym żołnierzu same pochwały, zastanawiacie się, czemu nie jest jednym z was? Otóż ja i Wielka Centrala mamy na to odpowiedź! Ten

człowiek posiada coś, czego wy nigdy nie będziecie mieli. Moralność! Zwyczajną ludzką moralność! – wyrzeszczał, wychylając się znacznie z mównicy.

Agent nie zwrócił uwagi na pomruk przechodzący przez Oddział, ani na błagalne jęki spanikowanych nazistów. Był skupiony tylko na swoim zadaniu. Zadaniu, którego treść wyraźnie tkwiła mu w głowie.

– Szefie, nie możemy się połączyć z Dowództwem! Prawy kanał ma sprzężenie, na lewym tylko szumy! Jakie są rozkazy? – zakrzyknął z przeciwległego końca sali naznaczony żołnierz. – Co mówi Centrala?

Sześć zdawał się nie słyszeć wołania. Założył ręce za plecy, wyprostował się i powoli skierował do wyjścia. Ktoś krzyknął i wszyscy spojrzeli w stronę pustej mównicy. Dojmująca cisza, która nagle obezwładniła szalejący dotąd tłum, potęgowała każde napięcie i stuknięcie ciężkich, skórzanych butów.

– Szefie, co mamy robić?! Co mówi Centrala?! – wrzeszczał rozpaczliwie szturmowiec.

– Rozstrzelać wszystkich, poruczniku. Rozstrzelać – szepnął, a jego precyzyjnie odmierzone słowa wryły się każdemu funkcjonariuszowi w mózgu.

– Ale... – zająknął się wojskowy.

– Rozstrzelać – powtórzył Agent, znikając w ciemnym korytarzu.

Jeszcze przez dłuższą chwilę słychać było ciche pogwizdywanie, odbijające się echem od betonowych ścian. Brzmiało jak świst wiatru. Chłodnego i upiornego.

Żołnierze przystąpili do działania. Bez szemrania, bez zbędnych komentarzy. Dobrze wiedzieli, że nikt nie będzie miał do nich pretensji. Oni tylko wykonywali rozkazy.

Zaryglowano drzwi, zgaszono reflektory. Szczęknęły zamki karabinów.

Czarny sedan z przyciemnionymi szybami mknął po opustoszałej autostradzie. W oddali majaczyły światła wielkiego miasta – kolejnego z tych, co to nigdy nie śpią.

Ekran akustyczny całkowicie zasłaniały wszelkie widoki. Pasażerowie samochodu oglądali tylko ciągnącą się kilometrami jednolitą ścianę. Niebo, zanieczyszczone światłem, było zupełnie szare. Znowu to samo. Księżyc w nowiu i żadnych gwiazd.

Wewnątrz pojazdu dwaj żołnierze nerwowo przebierali palcami po komorach zamkowych swoich karabinów. Siedzący pomiędzy nimi mężczyzna w prochowcu wpatrywał się bez wyrazu przed siebie.

Nagle szybki, energiczny dźwięk przerwał ciszę. Wojskowi spojrzeli po sobie. Człowiek w czerni powoli sięgnął do kieszeni i wydobyl niepozorną szklaną płytkę. Wiedział, co zaraz usłyszy, ale nie mógł nic na to poradzić. Już do tego przywykł. Odebrał telefon.

– Dobry wieczór, Agencie Sześć. Wysłano ci dzisiaj instrukcję odnośnie zadania 180/a. Rozumiem, że zmierzasz już na miejsce? – wybrzmiał zimny, nieprzyjemny głos.

Mężczyzna w czerni nie reagował. Tyle razy słyszał już podobne słowa, że przestały robić na nim jakiegokolwiek wrażenie. Obserwował tylko przemykające za szybą betonowe mury. Stał się całkowicie otępiaty.

– Tak, Centrala. Otrzymałem, zapoznałem. Jestem w drodze – odpowiedział w końcu. Machinalnie i beznamiętnie jak zawsze.

– Przyjęliśmy. Szczegóły operacyjne otrzymasz za kilka minut – odpowiedź wybrzmiała równie nijako.

Agent już chciał zapaść się w przyjemną otchłań jałowych przemyśleń, gdy nagły komunikat wyrwał go z półsnu.

– Jesteśmy zadowoleni z twoich postępów, Sześć. Nasz terapeuta bardzo cię chwali. Twierdzi, że musisz jeszcze tylko popracować nad wahaniami nastroju. Ale to problem marginalny.

– Dziękuję – wydobyl z siebie pozbawiony emocji szept.

Wydawał się tkwić myślami zupełnie gdzie indziej. Słyszał szybki krok w korytarzu bez sufitu. Widział betonowe ściany surowej Cytadeli i pokój na najwyższym piętrze. Mimowolnie zaczął gwizdać. Nie przypominał sobie, by kiedykolwiek tak potrafił.

– Zanim się rozłączymy, mamy dla ciebie jeszcze jedną wiadomość, prosto z najwyższego Dowództwa. – W tym momencie z głośnika popłynął bojowy dzingiel, a automat został zastąpiony przez żywego lektora.

– Przepraszamy za usterki podczas wczorajszej akcji „Młot”. Nie wiemy dokładnie co się stało, ale wszystkie komunikatory twojej jednostki uległy awarii. Praca bez jakiegokolwiek łączności nie należy do najłatwiejszych i obiecujemy, że to się już nie powtórzy! Jesteśmy pewni, że podejmowałaś właściwe decyzje. Protokół zapisany. Koniec rozmowy.

Agent przybrał minę tryumfu. Starszy mężczyzna w szarym mundurze poplamionym krwią kończył uzupełniać magazynek. Drugi, zaprawiony w boju szturmowiec, z namaszczeniem nanosił na hełm kolejne białe linie.

Poranne mgły odsłoniły już strzelistą wieżę Cytadeli, górującą nad miastem. Równe kolumny betonu, szkła i stali, poukładane według ściśle określonego wzoru. Zawsze dbali o nienaganny wizerunek. Wszystko musiało być proste, surowe. I perfekcyjne. Zupełnie tak, jak sam lubił.

Jeszcze raz przyjrzał się skrzyżowanym ciesielskim młotkom. Odpiął metalową spinkę od płaszcza i zaczął obracać ją między palcami. Uśmiechnął się drwiąco. Według Centrali ten jeden detal miał sprawić, by przełączył sobie coś w mózgu i stał się jednym z nich.